

Jan Rokita: Dwa ciała królowej

Sedno sprawy tkwi w wyjątkowości roli, jaką z premedytacją i rozeznaniem przyjęła na siebie lata temu 27-letnia księżniczka, w chwili przedwczesnej śmierci ojca. To nie była zgoda na przyjęcie „powołania teatralnego”, jaką wyraża uzdolniona młoda kobieta z talentami aktorskimi. Ale poważne i krańcowo zdeterminowane podporządkowanie się powołaniu, wzywającemu ją do ukrycia swej zwykłej ludzkiej natury – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

W XVI tomie „Biblioteki historycznej” Diodor Sycylijski opowiada o ceremonii wejścia króla Filipa Macedońskiego do amfiteatru w Aigai. Prawdę mówiąc, należałoby powiedzieć: o ceremonii dwóch równoczesnych wejść króla. W tym samym bowiem czasie, gdy Filip swoją ludzką osobą wchodził, aby zająć miejsce na teatralnej widowni, do amfiteatru wstępowała również uroczysta procesja z wizerunkami dwunastu bogów i konterfektem Filipa, jako trzynastego, w tym gronie Olimpijczyków. Król wkraczał zatem na przedstawienie w podwójnym swoim ciele: ludzkim – jako Grek przychodzący oglądać widowisko – i monarszym – jako wcielona idea Grecji, patronująca widowisku.

Ta starożytna opowieść, o której po raz pierwszy przeczytałem w książce Kantorowicza o „dwóch ciałach króla”, jak i sama ta sławna książka, od lat przychodziła mi na myśl, ilekroć obserwowałem postać i panowanie królowej Elżbiety II. Zawsze bowiem tam, gdzie się pojawiała, w swoich kolorowych i nieco ekscentrycznych szatach, trudno było oprzeć się wrażeniu, że wraz z nią wstępuje na to miejsce cały majestat korony brytyjskiej. Teraz, po jej zgonie, gdy trwają właśnie rozciągnięte na wiele dni państwowe obrzędy pogrzebu monarszego, zdaje mi się, że owa opowieść Diodora sprzed dwóch tysięcy lat wyjątkowo dobrze pointuje jej długie królowanie. Jak również, że stara i dobra książka Kantorowicza na temat ideologii

korony brytyjskiej, napisana grubo ponad pół wieku temu, jest inteligentnym kluczem interpretacyjnym, pozwalającym zrozumieć coś z tego, w istocie trudnego do zrozumienia, panowania.

Na dobrą bowiem sprawę, to przez siedemdziesiąt lat Elżbieta II nie zrobiła, ani nie powiedziała (w każdym razie publicznie) niczego, co naprawdę warte by było uwagi, bądź zainteresowania. Jej obszerne życiorysy, publikowane obecnie w brytyjskich mediach, nie odnotowują ani faktów, ani dających się konkretnie wskazać zasług, jakie można by jej przypisać, czy to w odniesieniu do własnego kraju, czy świata.

Mówiła publicznie tylko to, czego wymagała od niej rola konstytucyjnego monarchy (np. odczytywała w Izbie Gmin teksty napisane przez kolejnych premierów), a poza tym, przy wyjątkowych okazjach, jakieś ogólniki i banały. Niektórzy, nie chwytający (jak sędzę) historycznego sensu tej formy panowania, próbują za wszelką cenę znaleźć jednak coś konkretnego i zarazem doniosłego. I wtedy najczęściej (przynajmniej na Wyspach) pojawia się jej precedensowa podróż do Irlandii z 2011 roku, w trakcie której królowa wyraziła chęć podania ręki Gerremu Adamsowi, lecz taką ofertę lider Sinn Fein naonczas odrzucił. Albo też wieloletnie łagodzenie przez królową dotkliwego dla Wielkiej Brytanii procesu dekolonizacji, dzięki więzi, jakie od początku swego panowania utrzymywała z elitami politycznymi Commonwealthu.

W biografii opublikowanej teraz przez BBC pojawia się zdanie, które Elżbieta II miała kiedyś sama wypowiedzieć na swój temat: „Jestem ostatnim bastionem standardów”

Z reguły jednak owe pośmiertne życiorysy królowej wypełniają burzliwe dzieje jawnych, a częściej tajnych i później demaskowanych zmagania z coraz bardziej

zdeprawowaną brytyjską rodziną królewską, w których zawsze broniła dobrych zasad, ale zwykle w końcu przegrywała. W biografii opublikowanej teraz przez BBC pojawia się zdanie, które miała kiedyś sama wypowiedzieć na swój temat: „Jestem ostatnim bastionem standardów”. Cóż z tego, kiedy druga połowa jej panowania przypadła w Europie na czas szybko postępującej anomii i triumfującej kontrkultury, które czyniły z niej postać coraz bardziej anachroniczną. Tylko

postępująca starość i niebywale długie trwanie w roli monarchy, ratowały ją w oczach kolejnych pokoleń. Jak nie bez racji, choć z ironią napisano na łamach lewicowego „Guardiana” – „uczucia Brytyjczyków do niej zaczęły powracać dopiero wtedy, gdy została odkryta na nowo, jako babcia narodu”. Na starość stała się, trochę niczym Tower Bridge albo Big Ben, bodaj najoryginalniejszym z londyńskich rekwizytów, które w czasach obsesyjnej i zmasowanej turystyki tak lubiane są przez gawieź w każdym kraju.

Ale w tych życiorysach i wspomnieniach, zwłaszcza współpracujących z nią w przeszłości brytyjskich premierów, niczym mantra powraca maksyma, która – ich zdaniem – rozstrzygnęła o kształcie całego panowania Elżbiety II: „Duty comes first”. Przez te przeszło siedemdziesiąt lat po prostu wypełniała swoją rolę, albo też (będzie to bliższe prawdy) istniała jako rola. Szkocki pisarz Andrew Scott napisał po jej śmierci, iż w gruncie rzeczy „królowa była abstrakcją i rolą, jak każda inna rola, którą stojąca za nią osoba – Elizabeth Windsor doskonale odegrała”. Uwaga Scotta byłaby niezwykle celna, gdyby nie jego pomyłka co do zwyczajności owej roli; tego, że była ona „jak każda inna”. Właśnie sedno sprawy tkwi w wyjątkowości roli, jaką z premedytacją i rozeznaniem przyjęła na siebie lata temu 27-letnia księżniczka, w chwili przedwczesnej śmierci ojca. To nie była zgoda na przyjęcie „powołania teatralnego”, jaką wyraża uzdolniona młoda kobieta z talentami aktorskimi, jak można by wnioskować po słowach szkockiego pisarza. Ale poważne i krańcowo zdeterminowane podporządkowanie się powołaniu, wzywającemu ją do ukrycia swej zwykłej ludzkiej natury (nawiasem mówiąc, raczej przeciętnej, niżli wybitnej, jak można teraz domniemywać), po to by własnym poddanym i światu nigdy więcej nie pokazywać się inaczej, aniżeli jako królowa. To „Sex Pistols” mieli trafną intuicję, gdy w roku 1977 śpiewali: „Boże chroń królową, ona nie jest istotą ludzką”.

Jak wiemy co najmniej od czasu książki Kantorowicza, brytyjska tradycja ustrojowa najdokładniej w Europie rozpracowała ów problem „dwóch ciał króla”. Nikt nigdy nie będzie mieć na to dowodu, ale możliwe, że w rozprężonej i całkowicie wyzbytej idei „królewskości” Europie XX wieku, monarcha taki jak Elżbieta II mógł się pojawić wyłącznie w klimacie brytyjskiej tradycji ustrojowej. Wedle starej angielskiej doktryny prawno-politycznej król nosi bowiem dwa ciała: „body natural” i „body politic”. W sławnych „Raportach Plowdena”

opracowanych przez Kantorowicza, odnotowano uchwałę prawników angielskich doby elżbietańskiej, którzy wyraźnie stwierdzili, iż: „ciało naturalne króla jest śmiertelne i podlega wszelkim niemocom, jakie przynależą mu z natury, albo z przypadku (...), ale jego ciało polityczne, którego nie można zobaczyć ani dotknąć (...) to ciało zupełnie pozbawione niemowlęctwa, wieku starczego oraz innych skaz i niedojrzałości, którym podlega ciało naturalne”. Raczej wątpię, czy Elżbieta Windsor kiedykolwiek trzymała w ręku egzemplarz „Raportów Plowdena”. Nie mam za to cienia wątpliwości, że to, co zbiorowo potwierdzili swym autorytetem angielscy prawnicy doby elżbietańskiej, było dla niej intuicyjnie absolutną życiową oczywistością, determinującą cały jej los i całe jej królowanie.

Polityczna wielkość Elżbiety II tkwi w tym, że przez przeszło siedem dekad nie cofnęła się, nie zrejterowała, ani nie uciekła tam, gdzie uciekli inni konstytucyjni monarchowie

Bo w gruncie rzeczy polityczna wielkość Elżbiety II tkwi w tym (i tylko w tym), że przez przeszło siedem dekad nie cofnęła się, nie zrejterowała, ani nie uciekła tam, gdzie

uciekli inni konstytucyjni monarchowie, o lepszych czasem od niej koneksjach dynastycznych. Choćby taki Burbon hiszpański – Jan Karol I, który jako młody monarcha odegrał nieporównanie istotniejszą od Elżbiety rolę w ukształtowaniu losu swego kraju, ale potem, znudzony długoletnim panowaniem bez rządu, przekształcił się w skorumpowanego rozpustnika i sybarytę ze świata celebrytów. Cały świat, z wielką skądinąd szkodą dla Hiszpanii, oglądał monarchę tego kraju w jego nie-królewskim „body natural”, pełnym wad, skaz, niemocy i skażonym śmiercią. Tymczasem przez długich siedem dekad królowa angielska była przez świat oglądana wyłącznie w jej „body politic”. Niemal aż do ostatniego tchnienia, gdy na półtora dnia przed swoim końcem, z posiniałymi już rękoma i ledwo trzymająca się na nogach, wyrwała się jednak śmierci, aby raz jeszcze wyjść na polityczną scenę i umożliwić pani Truss ucałowanie królewskiej ręki – znaku nominacji na nowego premiera. Jakże to bowiem by było, gdyby królowa miała umierać, a Wielka Brytania przez ten czas czekać na swój konstytucyjny rząd!

Ta królewskość Elżbiety II narzucała się światu z taką siłą, że (jak słusznie zauważył w BBC były premier John Major) – „kiedy gdziekolwiek w świecie ludzie mówili: «królowa», to rozumieli przez to naszą królową”. Chyba w ogóle nie wyobrażała sobie, iż mogłaby kiedykolwiek albo gdziekolwiek publicznie okazać słabość, zmęczenie, albo (nie daj Boże) prywatne uczucia, właściwe przecież wyłącznie naturalnemu, a nie politycznemu ciału króla. Ta jej królewska determinacja sprowadziła właśnie na nią liczne kłopoty, a nawet nieszczęścia. Była niezdolna, aby poddać się duchowi czasu, wymagającemu od każdej osoby publicznej, aby dla zyskania poklasku i popularności, nieustannie epatować publiczność własnymi emocjami, nawet udawanymi (w czym specjalistami stali się demokratyczni politycy i celebryci). Zaabsorbowana swą wielką rolą chyba zbyt późno dostrzegła, że jej dzieci nie przejęły zgoła niczego z jej monarszych standardów, w efekcie czego ona sama, wbrew swojej naturze, znalazła się nagle w centrum błazeńskich skandali, urządzanych nieustannie przez jej bliskich. A na dodatek, w końcu musiała pojąć, że nowoczesna opinia publiczna jest skłonna ekscytować się, łkać i rozpaczać nad losami kolejnych „royalsów-skandalistów”, zaś jej rzetelną królewską cnotę traktować jako świadectwo pychy, sztywniactwa, jakiegoś zabobonu.

Mam nieprzeparane wrażenie, że z biegiem lat stawała się królową coraz bardziej nierozumianą, i to nie tylko wśród własnych brytyjskich poddanych. Przekonuję się o tym zwłaszcza teraz, gdy po jej śmierci z anteny BBC wylewają się dzień i noc cikliwe wspomnienia różnych ludzi, próbujących na różne sposoby zerwać z królowej, choćby teraz, już po jej zgonie, królewskie „body politic” i za wszelką cenę ubrać ją w końcu w ludzkie „body natural”. Różni „ważni ludzie”, którzy ją kiedyś spotkali, zapewniają nas solennie, że była towarzyska, miała poczucie humoru, kochała zwierzęta (zdaje się zresztą, że na sposób bardzo monarszy: tylko konie i psy), była całkiem multi-kulti, i w ogóle dla wszystkich zawsze miła. I właśnie dlatego miałyby być dobrą królową. Ci, co teraz tak mówią, czynią to w najlepszej wierze, tak bowiem sami wyobrażają sobie postać sympatycznej współczesnej celebrytki, którą chcieliby opłakiwać.

Oczywiście nie mogę wiedzieć ile jest prawdy w tym odmonarszonym i sprywatyzowanym wizerunku, dostosowanym do potrzeb popkultury. Ale przecież w przypadku Elżbiety II ani nie chcę tego wiedzieć, ani też nie ma to najmniejszego znaczenia. I choć domniemywam, że nie zajmowało jej ani studiowanie wyrafinowanych wywodów Kantorowicza, ani prastarych „Raportów Plowdena”, to niemal z pewnością musiała czytać (i zapewne w jakiś sposób odnosić do własnego królowania) szekspirowskie „Kroniki”. To w nich właśnie, a przede wszystkim w najbardziej politycznej kronice – „Tragicznej historii króla Ryszarda II”, mogła znajdować potwierdzenie tego tak fundamentalnego dla jej losu rozstrzygnięcia, iż obowiązkiem angielskiego monarchy jest poświęcenie w życiu niemal wszystkiego, byle tylko nigdy nie pogodził się on z obdarciem go z królewskiego „body politic”, będącego jedynym źródłem majestatu. Postać jej historycznie odległego poprzednika – Ryszarda II, taka przynajmniej, jak narysował ją Szekspir, mogła być dla królowej silną przestrożą. Nie mając zielonego pojęcia czy tak było naprawdę, lubię sobie wyobrażać, że mogła regularnie powracać do tej lektury.

W tej szekspirowskiej kronice ostatni z Plantagenetów toczy bowiem zdumiewający dialog z własną twarzą, na której odbicie patrzy w lustrze. Sam czując się królem, w lustrze dostrzega jedynie zniszczone nieprawością i klęską oblicze przegranego człowieka. Trzykrotnie pyta: „Czyż to jest to oblicze?”, po czym tłucze lustro, w akcie bezsilnego buntu wobec widomego dowodu utraty „body politic”. Potłuczone „patrzące szkło” jest szekspirowską symboliką śmierci króla jako króla, oraz obnażenia pokrzywionego moralnie, „poddanego wszelkim niemocom” ciała naturalnego Ryszarda. Król, a tak naprawdę już nie-król, rozpoznaje w sobie zdrajcę korony, gdyż sam „przyzwolił w sercu, by obnażono święte ciało króla”. W dzisiejszych czasach, jako wzięty celebryta, mógłby pewnie, niczym Burbon hiszpański, zbiec do swych nieziemsko zamożnych przyjaciół w Arabii. W kronice Szekspira (tak samo, jak w realnej historii Anglii) Ryszard II nie dostanie jednak takiej okazji. Jego śmiertelny wróg – Bolingbroke, gdy tylko dostrzeże, że w istocie rzeczy król przestał być już królem, rozkaże swoim strażom: „Niech kilku z was zawiedzie go do Tower”. Obnażone „natural body” ostatniego Plantageneta nie jest Anglii do niczego potrzebne.

Jan Rokita

Foto: World History Archive / World history archive / Forum